

Witold Grzybowski

część I z V

Sygnatura notacji: **N0147**

Data urodzenia: **04.04.1928 r.**

Data nagrania: **29.09.2022 r.**

Miejsce nagrania: **Centrala IPN, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Szymon Nowak**

Czas nagrania: **część I: 58 min, część II: 51 min, część III: 58 min,**

Format nagrania: **video** **część IV: 44 min, część V: 36 min**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Witold Grzybowski: Urodziłem się w Moskorzewie. województwo Kieleckie, powiat Włoszczowa. Z tamtych stron nie pamiętam nic, bo kiedy miałem 3 lata, ojciec zmienił pracę, wyprowadziliśmy się z Moskarzewa do Miastkowa Kościelnego, bo ojciec był gorzelanem, prowadził gorzelnię i od czasu do czasu zmieniał pracę. Dzięki temu ja poznałem nowy świat. Za krótko mieszkaliśmy w Moskorzewie, żeby cokolwiek stamtąd pamiętać, bo 3 lata, to jeszcze młodzińców nie pamięta nic. W Miastkowie Kościelnym mieszkaliśmy przy gorzelni, było mieszkanie. Tam ojciec pracował do 1937 roku. Ja oczywiście wychowywałem się w domu. Opiekowała się mną głównie mama Bronisława. Ojciec Stanisław pracował. I jeszcze miałem starszą o cztery lata siostrę, dzięki której ominęłam pierwszy oddział szkoły powszechnej, bo czytać, pisać i tabliczki mnożenia nauczyłem się w domu. Nie powiedziałem, kiedy się urodziłem 1928 roku, 4 kwietnia. Ojciec mój urodził się wcześniej, bo w 1888 roku, 8 kwietnia. Żył mi się dobrze i rodzicom w miarę też. Ja stopniowo uczyłem się wielu rzeczy, ale najbardziej zawsze ciekawiła mnie gorzelnia. Tak że jako chłopak sześciolatek umiałem uruchomić dużą maszynę parową. Trzeba było wiedzieć, że trzeba najpierw odkręcić dwa kraniki, żeby spuścić wodę z cylindra, a potem, jak już zacznie lecieć para, to trzeba je zamknąć. No, jak się odkręciło więcej, to maszyna kręciła się szybciej albo wolniej. Umiałem też obserwować, jak leci spirytus przy aparacie odpędowym. Zawsze się obserwowało, żeby było wiadomo, czy trzeba pompę zacieru ustawić szybciej lub wolniej oraz przepływ pary, która powodowała odparowanie spirytusu z zacieru. Żeby to wszystko leciało tak jak trzeba. Zabawek miałem stosunkowo niewiele. Ale nie były mi potrzebne, bo świat był tak ciekawy, majątek, w którym była gorzelnia, był dość duży, miał oborę około 100 krów, stajnię 70 koni, wozownię, stolarnię, kuźnię. To wszystko było do obejrzenia. Spichrz duży, parę pięt. Dwie stodoły olbrzymie, w których bawiliśmy się. I był jeszcze garaż dla samochodów i drugi garaż, w którym były dwa traktory. Te dwa traktory co wiosną były rozbiera-

ne na kawałki, remontowane, szykowane, żeby wszystko było dobrze. Ja dzięki temu jako chłopiec siedmio, ośmioletni, doskonale znałem budowę silnika spalinowego. Co to jest, jak to jest. Co ciekawe. Traktory, które potem były używane w polu do orki, bronowania, tylko benzyny używały do uruchomienia, a później pracowały na spirytusie denaturowanym z gorzelni. W końcu gorzelnia produkowała spirytus. Większa, znakomita część spirytusu szła do rektyfikacji, potem do obrotu w świat, a część zostawała skażona na miejscu, w majątku, w magazynie spirytusu i służyła potem do napędu traktorów. Ja mówię, że w stosunku do obecnego stanu ochrony środowiska, to tam to był wzór tego wszystkiego. Była olbrzymia młocarnia z lokomobilą. Jak trzeba było młócić, to ustawiano młocarnię, lokomobile podciągano. Uruchamiali i się młóciło. Jeśli chodzi o zabawki, to głównymi zabawkami dla mnie to były takie, które się ruszały. No, więc oczywiście była najpierw – z pamięcią, ważne słowo, proste słowa, słowo ucieka, potem wytniecie to, panowie – była hulajnoga, ale ta hulajnoga szybko się popsuła. Potem dostałem dreżynę na 4 kołach, nogami się kierowała, a rękami się napędzało. Była bardzo fajna rzecz, bardzo się cieszyłem. W zimie były łyżwy. Był młyn na rzece Wildze. Rzeką Wilga w tej chwili to jest mała rzeczka. Wtedy w majątku był zrobiony staw, był młyn. I tak wysoko była spiętrzona woda, że stworzyły się jeszcze, oprócz tego podstawowego stawu koło młyna był jeszcze drugi staw w głębi tego majątku. Można było pływać łódką. A w zimie jeszcze dodatkowo podwyższano poziom wody, woda wylewała na łąki. Jak to zamarzło, to było olbrzymie i bardzo bezpieczne lodowisko. Początkowo jeździłem na tak zwanej kopyciance. To był kawałek drzewa, drewna podkuty prętem żelaznym. Przywiązywało się sznurkami do jednej nogi, i na tej kopyciance się człowiek ślizgał. Ale potem rodzice kupili mi już łyżwy. Przykręcało się do butów. No, i to była frajda rzeczywiście. Do szkoły poszedłem od razu do drugiej klasy. Skończyłem drugą i trzecią. Czwartą potem kończyłem już gdzie indziej, bo w międzyczasie ojciec zmienił pracę. Ale jeszcze króciusińko powiem o tej szkole w Miastkowie Kościelnym. 3 maja 1935 roku – ja miałem wtedy 7 lat – zrobiono większą uroczystość. Przyjechał nawet jeden weteran. Weteran w granatowym mundurze, granatowa rogatywka. Siedział na scenie, ale nie pamiętam, żeby powiedział chociaż jedno słowo. Starszy pan z powstania styczniowego. Była jakaś sztuka, którą tam przedstawiano. Z tej sztuki zapamiętałem dwa słowa po rosyjsku: „gospada oficery” [panowie oficerowie]. Do tej pory mi to zostało. Potem ojciec, który znał rosyjski dobrze, próbował mnie nauczyć rosyjskiego, ale to się nie udało, niestety. Nauczył mnie za to grać w szachy, bo kupował „Kurier Warszawski”, który prawdopodobnie raz w tygodniu, publikował partię szachową z komentarzem. Ojciec się nauczył i nauczył mnie też. Kilkanaście lat później to mi się przydało. W 1937 roku ojciec zmienił pracę. Wyjechaliśmy na Wileńszczyznę. Gorzelnia stała dokładnie pół kilometra od granicy polsko-sowieckiej. Dokładnie 500 metrów. Przypominam sobie nawet numer słupa granicznego – 659, ten najbliższy słup, bo słupy były kolejno numerowane. Poszedłem do szkoły, do czwartego oddziału. Pamiętam tylko, że zmieniłem styl pisania. Pisałem takimi drobnusińskimi maczkami. Nie wiem, jak nauczycielka pani Łatanowska, która była wychowawczynią w mojej klasie, w moim oddziale jakoś dawała sobie radę. Ale w tej chwili się zastanawiam, po co ja takie małe pisałem, jak można było pisać większe. Majątek Pomorszczyzna, w którym była gorzelnia, zabudowania tego majątku, gorzelnia i czworaki, były w odległości około kilometra od miasteczka Raków. Raków, z reguły pisano Raków Mołodecki, bo na terenie Polski było kilka Rakówów. Słynny, taki ten Raków braci – jak oni się tam nazywali, nie pamiętam – jest na kielecczyźnie. A dawno się nazywało Raków Mołodecki. Co ciekawe, niedaleko, około pół kilometra w drugą stronę od granicy stał nowy budynek straży Korpusu Ochrony Pogranicza. Tam był taki niewielki pluton żołnierzy, którzy wychodzili patrolowali granicę. Nad dachem była taka niewielka platforma obserwacyjna. Można było tam wejść. Był daszek, oczywiście nad tym. Można było sobie przez lornetkę patrzeć wzdłuż granicy i nawet za granicę zaglądać. Ja tam do nich chodziłem. Jako chłopiec

ośmioletni zaprzyjaźniłem się z żołnierzami i zaglądałem za granicę do Związku Sowieckiego. Nie będę o tym opowiadał, co tam było, bo to szkoda czasu. Za dobrze nie było. Skończyłem czwarty oddział i piąty. Cieszyłem się, że trafię do szóstego, bo zbierałem sobie pieniądze na rower. Już miałem na książeczce Pekao 65 zł. Rodzice obiecali, że jak pójdę do szóstej klasy, to dopłacą mi i kupię rower. No, tam chodziło o 50 zł. No, ale niestety 1 września wybuchła wojna. Myśmy praktycznie nie wiedzieli, że jest wojna. Znaczący, wiedzieliśmy z radia i z prasy, że wojna jest, ale tam nie odczuwaliśmy. To było tak daleko od Niemiec, od polsko-niemieckiej granicy i od oddziałów niemieckich, że był spokój. Wiedzieliśmy, martwiliśmy się, że jest wojna, ale specjalnie żeśmy tego nie odczuwali. Namawiano tylko, żeby kopać sobie takie rowy, w których w razie czego, w razie bombardowania, to się można schować. Ja rzeczywiście zacząłem kopać w ogrodzie taki rów. 17 września wcześnie rano dotarł do nas warkot. Już zrobiło się widno. I od Rakowa słychać było warkot taki silny. Myśleliśmy, że to Niemcy przylecieli i będą bombardować Raków, a może i nawet tą gorzelnię, bo komin przecież wysoki stoi. Wyszliśmy z domu. No, tam warczy w dalszym ciągu, warkot trwa, ale patrzymy: od strony granicy jedzie kawaleria w zielonych mundurach. Zastanawiamy się, skąd polska kawaleria jedzie od granicy. Jak przyjechali bliżej, to żeśmy się przekonali, że to była sowiecka kawaleria. W pewnym momencie rozległy się strzały z karabinów maszynowych. Trwały krótko, nie wiem, może pięć sekund, może dziesięć sekund. Odległość czasu jest tak duża, że pamięć tego nie wyłapuje. Ale krótko strzelali. No i przejechali. Potem dowiedzieliśmy się, że strzelali do strażnicy, zabili jednego żołnierza, jednego ranili. Ja później chodziłem tam do tego budynku strażnicy, oglądałem. To ta galeryjka, która była nad dachem, to deski z boku były tak postrzelane, że miejsca większego od dłoni wolnego od przestrzeliny nie było. Zestrzelali dokładnie. No, niestety jeden żołnierz zginął, jeden był ranny. Pierwszego dnia no, nic w zasadzie się nie stało. Ale już następnego dnia wiedzieliśmy, że urzędnicy państwowi i administracyjni w miasteczku, w Rakowie, zostali aresztowani. Że aresztowano również tak zwanych osadników. Osadnicy, to byli żołnierze z wojny dwudziestego roku. Na pograniczu polsko-sowieckim były wolne tereny. Dostawali działki dwadzieścia hektarów. Tam budowali siedliska i mieszkali, i żyli, i na dwudziestu hektarach można było zupełnie dobrze żyć. No, ale tych osadników od razu w pierwszych dniach aresztowano, wywieziono gdzieś, nie wiadomo gdzie. No, i tak jak powiedziałem, aresztowano urzędników, policję oczywiście. Znikli nasi nauczyciele. Nie wiem, czy ich aresztowano, czy oni schowali się, uciekli. Nie było już. Szkołę sowieci uruchomili. Uruchomili nas z piątego oddziału, znowu umieścili w piątym oddziale, twierdząc, że w ich szkole jest wyższy poziom niż w Polsce. W związku z tym będziemy się uczyć w piątym oddziale. Niestety nie mieli nauczycieli wykwalifikowanych, nie mieli podręczników i faktycznie rok był stracony. Nie nauczyliśmy się nic. W następnym już roku, w roku szkolnym 1940-1941 były wszystkie podręczniki po rosyjsku plus dwa podręczniki – to była białoruska szkoła – plus dwa podręczniki po białorusku: gramatyka białoruska i wypisy z literatury białoruskiej, ale gramatyka rosyjska, wypisy literatury rosyjskiej też były. No, i pozostałe podręczniki wszystkie: historia, fizyka, biologia, zoologia, i to wszystko było po rosyjsku. Zresztą uważam, że zupełnie słusznie, bo to samo się działo na Ukrainie i w innych republikach. Podręczniki były te same, w olbrzymich nakładach drukowane, więc były tanie. Już byłem w szóstym oddziale. I trafiliśmy na bardzo dobrego nauczyciela, fizyki i matematyki. Te dwa przedmioty, pamiętam do dzisiaj, że były podstawą mojej nauki. Z matematyką i fizyką nie miałem nigdy kłopotów. Co się stało niedobrego, poza tymi aresztowaniami i ludźmi, wywozieniem ich. Wartość rubla przyrównano do wartości złotówki. On był dużo mniejszej wartości, w związku z tym, ich pensje były znacznie wyższe niż polskie w złotych, ale spowodowało to zrównanie wartości tych walut, że ze sklepów wszystko niemal momentalnie znikło. Nie można było kupić, nic nie było, oni wszystko wykupili. Ojciec miał jeszcze..., złotówki jeszcze były ważne, jeszcze były traktowane jako waluta obiegowa. Miał trochę zło-

tówek przecież zaoszczędzonych. Chciał je wydać, chciał coś kupić. W Rakowie w sklepach nic nie ma. Wybrał się do Wilna. Do Wilna mieliśmy 160 kilometrów. 20 najpierw bryczką, a resztę potem koleją z Olechnowicz przez Małodeczno do Wilna. Pojechał. Na drugi dzień wrócił i przywiózł 3 metry materiału, kamgarnu zielonego na oficerskie mundur. W Wilnie również w sklepach nic nie było. Materiał na mundur wojskowy Rosjanom, sowietom nie był potrzebny. Dlatego to można było kupić. No ale krawiec uszył ojcu spodnie do butów z cholewami, a mnie uszył marynarkę kroju mundurowego wojskowego. Guziki tylko były cywilne. Zostało, było. Generalnie dobrze nie było. O konspiracji jakiegokolwiek nie można było marzyć, bowiem tylu było zwolenników komunizmu, że chodzili, donosili wszystko. Ludzie się w tych miejscowościach niewielkich znali, więc mogli o sobie opowiadać wszystko. Jak ludzie mieszkali przed wojną, żyli ze sobą zgodnie, nieraz wręcz przyjaźnie. Polacy, Żydzi, Białorusini na tamtym terenie. Białorusinów było najwięcej na wsiach, Polaków w miasteczku i Żydów też przede wszystkim w miasteczku. Oczywiście Żydzi bardzo sympatyzowali z sowietami, donosili wszystko, co można było donieść, to donosili. Ojciec chodził do Żyda, do szewca. Z butami. I parę dni po wejściu Rosjan poszedł odebrać jakieś tam buty, zaniósł do zelowania, i żona tego szewca mówi: „Oj, panie Grzybowski, jak to dobrze, że ten zgniły polski rząd szlag trafił”. No, tak było. Dwa lata później, może niecałe dwa lata, kiedy już wybuchła wojna niemiecko-sowiecka, Niemcy doszli tam te dwieście kilometrów, czwartego dnia już byli w Rakowie. Po roku przyjechało specjalne komando niemieckie. Zgarnęli Żydów wszystkich do bożnicy i spalili. Ojciec tego dnia – jakoś myśmy już nie mieszkali wtedy w Pomorszczyźnie, bo nas stamtąd już wcześniej wyrzucili, mieszkaliśmy 6 km od Rakowa, a już była okupacja Niemiecka – ojciec pojechał, po coś tam poszedł z Michałowa, gdzie mieszkaliśmy, do Rakowa. Sześć kilometrów było. Trafił na taką scenę, że w rynku biegła ta żona tego szewca. I Niemcy ją zastrzelili. No, niestety tak się układało życie. Ja się dziwię, że po wojnie zrobiono wielką sprawę z Jedwabnego. Jedwabne to się nazywało? – Jedwabne. Niemcy nie oszczędzili żadnego miasteczka. Żydzi głównie trudnili się handlem i mieszkali w miasteczkach. Rzadko kiedy Żyd był na wsi. Wszystkie miasteczka po kolei, specjalne oddziały niemieckie jechały z miasteczka do miasteczka i zabijali Żydów, bądź paląc w burznicy, bądź w stodole, bądź rozstrzeliwując nad rowem, gdzieś poza miasteczkiem. O tym się nie mówi, mówi się tylko o jednym. No, niestety tak to było. Ojciec był kierownikiem gorzelni. W związku z tym, władze lokalne zobowiązały ojca do tego, żeby gorzelnia była uruchomiona i żeby przerobić ziemniaki, które w majątku zebrano, żeby to przerobić na spirytus. Ale opiekę nad gorzelnią przejęło również wojsko. Tam było przy gorzelni nasze mieszkanie i były jeszcze dwa pokoje gościnne. One z reguły były puste. W nich zamieszkali: szeregowy, podoficer i oficer. I oni pilnowali tego, żeby z tą gorzelnią było wszystko w porządku. Moja mama dostała polecenie, że miała ich wyżywić. Śniadanie, obiady, kolacje mama robiła i oni przychodzili do nas i jedli. Co parę tygodni przyjeżdżało do gorzelni naczalstwo z rejonu – to jest województwo – pierwszy sekretarz partii – figura – i paru oficerów, wyższych oficerów od majora, generała nie było, ale podpułkownicy i pułkownicy byli. I ten cywil, pierwszy sekretarz. Jedli u nas obiad. Przyjeżdżają na inspekcję, jedli obiad. Różne tam rozmowy były. Sekretarz kiedyś miał pretensje do mojej mamy, dlaczego mama wierzy. Mama mu odpowiedziała, że wasza konstytucja – myśmy mieli konstytucję, bo chodziliśmy do szkoły i siostra, i ja, właściwie siostra to już nie chodziła, ja chodziłem do szkoły, miałem konstytucję też ze szkoły. Mama powiedziała: „Przecież wasza konstytucja pozwala wierzyć, nie pozwala tylko agitować za wiarą”. Sekretarza zamknęło. Koniec, nie ma tematu. Co jeszcze? 10 lutego 1940 roku zaczęli wywozić ludzi. Przychodzili do domu. Kazali zabrać, co się chciało zabrać, to żeby zabrać, dawali na to różnie, 2 godziny, ale nawet i 15 minut było. Ludzie brali, oni mieli transport. Były sanie, bo to zima przecież, 10 luty. Sroga zima była w 1940 roku. Wieźli te 20 km do Olechnowicz i tam stopniowo umieszczali ludzi w pociągu, w wagonach towarowych. Jak zebra-

li już pełne wagony, wieźli gdzieś do Związku Radzieckiego. Dokąd, myśmy nie wiedzieli. W jakich warunkach to się odbywa, nie wiedzieliśmy. My wiemy w tej chwili dość dokładnie, jak wyglądał transport i jak przyjmowani byli tam, dokąd byli wywiezieni, w jakich warunkach tam żyli. To wszystko było straszne. Warunki transportu były wręcz nie-ludzkie. No, ale tak się działo. Pierwsza wywózka była 10 lutego, następna była 2 miesiące później, trzecia była po następnych dwóch miesiącach, w maju. Potem była jeszcze jedna wywózka w maju 1941 roku. A następna była przewidziana na lipiec 1941 roku. No, nie doszło do tej wywózki. Ojciec prowadził gorzelnię i co jakiś czas przychodził robotnik do tego majątku, Białorusin. „Panie Grzybowski, jesteście na liście”. W związku z tym, mama przygotowała 4 worki, bo nas było 4: ja, siostra, mama i ojciec. Nasuszyła chleba razowego, trochę boczku jakiegoś wędzonego, cukru, trochę soli, jakieś tam ubrania. Każdy miał taki worek, jaki mógł unieść. Na szczęście – nie wiem, czy dlatego, że ojciec prowadził gorzelnię i musiał być – nie wywieźli nas, czy jakiś wpływ miały na to te przyjazdy co parę tygodni tego naczalstwa z rejonu. W każdym razie nie wywieźli nas. Bodajże na początku kwietnia skończyły się ziemniaki, gorzelnię trzeba było zamknąć. Ojca wywieźli do Berezy Kartuskiej, bo tam była następna gorzelnia, która miała ziemniaki, a nie było kogoś, kto umiał ją poprowadzić. Wzięli ojca. To już był jeszcze 1940 rok, ale ojciec tam był jeszcze w 1941. Przeżyliśmy. Szczęśliwie nie wywieźli nas. Ale kiedy tu gorzelnia już stanęła i ojca zabrali do Berezy, to nas z tego mieszkania przy gorzelni wysiedli. Mama, siostra, ja przenieśliśmy się ten kilometr, do Rakowa. Tam mama wynajęła pokój z kuchnią i tam mieszkaliśmy. Ciasno było, bo ciasno, ale żyliśmy. Ojciec, który skończył, kończyła się kampania gorzelni w Berezie Kartuskiej, w 1941 roku został skierowany na budowę drogi z Mińska Litewskiego do Grodna. Tam nawet koło naszego mieszkania w Michałowie, leżały już zwiezione kamienie, takie tej wysokości, takie były, i szerokości co najmniej półtora metra, jak nie więcej, i długie na parę metrów. Takie pryzmy kamieni leżały już gotowych do tej drogi. Ojca tam na tą drogę wywieźli. No, ale 22 czerwca 1941 roku wybuchła wojna niemiecko-sowiecka. Niemcy po czterech dniach już byli w Rakowie. Pamiętam: Raków, rano, piękna, ładna pogoda, i część ulicy niedaleko tej, przy której myśmy mieszkali, pali się. Prawdopodobnie ktoś z Niemców strzelił pociskiem zapalającym. Ponieważ większość domów była kryta słomą, to się wszystko zapaliło. Pożar trwał. Między domem, w którym myśmy mieszkali, a domem, który się palił, stał jeszcze jeden dom, który ocalał. No, i myśmy ocaleli. A tam się wypaliło to wszystko. Tak się zakończyła okupacja sowiecka. Zaczęła się niemiecka. Ja wśród ludzi odczułem, że ludzie odetchnęli w jakiś sposób. Ja potem spotkałem się z podobną oceną w literaturze już, że ludzie byli zadowoleni, że przyszli Niemcy. No, bo skończyło się wywożenie. Przecież tam wywożono, ta pierwsza wywózka, to było ponad 200 tysięcy, druga – około 300 tysięcy, następna – znowu 200 tysięcy. Około ponad 200 tysięcy przy każdej okazji wywożono. I to było, mimo że nie wiedzieliśmy, jak wygląda to wywożenie, w jakich warunkach, sam fakt, że od nikogo z tamtych stron nie przychodziły wiadomości, jakieś listy, był wystarczającą przestrogą, żeby tego unikać. Zapytał pan o konspirację. W okresie sowieckiej okupacji – zresztą, my to nazywamy pierwszą sowiecką okupacją – nie było mowy o konspiracji. Cokolwiek próbowało się gdzieś nawiązać, momentalnie NKWD aresztowało, wywoziło ludzi. Były przypadki małych grupek znajomych, którzy nawzajem jakoś sobie pomagali, coś tam robili, ale nie było żadnej więzi z żadnym dowództwem wyższego rzędu. Bo to wszystko ginęło. Na początku cieszyliśmy się, że są Niemcy, ale potem Niemcy pokazali również swoje oblicze. Za każdego zabitego Niemca zabijali 50 do 100 zakładników, ludzi absolutnie niewinnych, niezwiązanych z żadną konspiracją, z niczym. Kiedy Niemcy przyszli, konspiracja się zaczęła. Stopniowo ludzie się jakoś organizowali. To wszystko było jeszcze tajne. Na wsi była kompania, ale to wszystko było utajnione. Na drugiej wsi była druga kompania, na trzeciej była trzecia. Wiosną 1943 roku Komenda Główna pozwoliła na tworzenie oddziałów partyzanckich. Niestety to był niedobry

czas. W kwietniu 1943 roku Niemcy odkryli Katyń i sowieci momentalnie niemal zerwali stosunki z polskim rządem w Londynie i odczuli to również ludzie na Białorusi i Ukrainie. Jak było na Ukrainie, nie bardzo wiem, bo wiem, co było na Białorusi, bo tam mieszkam. 22 czerwca 1943 roku odbył się w Moskwie zjazd Komunistycznej Partii Bolszewików Białorusi. Komitet Centralny tam zorganizował zjazd. Na tym zjeździe podjęto jedno zobowiązanie, które nas bezpośrednio interesowało. To było rozporządzenie, żeby wszystkie jednostki sowieckie, które były na Białorusi – tam były partyzanckie jednostki – żeby w dowolny sposób, w każdy dostępny sposób, żeby niszczyli polskie organizacje narodowe. To było 22 czerwiec. I tego oni przestrzegali potem, stosowali to. Polacy... Co jeszcze? Jeszcze wcześniej powiem co innego. Niemcy zajmując te tereny, były polskie tereny, województwo białostockie, nowogródzkie, wileńskie, okrążyli tam olbrzymie ilości wojska sowieckiego. Te ilości są różne. W literaturze spotykam wielkości 600 tysięcy, a nawet 2 miliony. Wzięli ich do niewoli. Wiemy, jak wyglądał początek wojny. Przecież Rosjanie cofali się gwałtownie. Co Niemcy zrobili z tymi wziętymi do niewoli czerwonoarmistami? Zamykali w obozach. Obozy były bardzo proste: ogrodzone drutem kolczastym tereny, bez dachu, bez budynku żadnego, bez niczego, napchany, pełno ludzi. Żyli w warunkach gorzej niż nieludzkich. Panował głód, choroby, była bardzo duża śmiertelność. No, ale wszyscy się nie zmieścili tam. W związku z tym, Niemcy część wziętych do niewoli rozpuścili na wsie. Ci jeńcy zamieszkali po jednym, czasem po dwóch gospodarstwach na wsiach. Jakoś spokojnie żyli, było w miarę wszystko dobrze. Ale to był czterdziesty pierwszy rok, kiedy oni weszli na te tereny. W czterdziestym drugim roku w obozach niemieckich zrobiło się luźno, bo tam tyle ludzi zmarło, że trzeba było je zapęłnić następnymi. Ogłosili powszechną rejestrację tych wolnych, jak gdyby jeńców znajdujących się na wsiach. Kazali im się rejestrować. No, po co? Po to, żeby zabrać ich do obozów. Oni zdawali sobie sprawę z tego, co się dzieje w obozach i w związku z tym się nie rejestrowali, tylko uciekali do lasów. W lasach tworzyli grupy mniejsze, potem większe. Początkowo to były zwykłe bandy takie. Napadali na domostwa jakieś we wsiach, żeby zdobyć pożywienie. I jeszcze to jakoś trwało. Ale bardzo szybko Moskwa się zorientowała, że coś takiego istnieje. W związku z tym samolotami przysłali oficerów i zaczęli z tych band organizować oddziały partyzanckie. Już w lasach powstały oddziały partyzanckie. I te oddziały partyzanckie już całkiem oficjalnie przychodziły i grabiły wsie i gospodarstwa. W większych wsiach i w miasteczkach zostały zorganizowane oddziały samoobrony. To się tak ładnie po białorusku nazywało *самаахова*. W miasteczkach były już powołane komendy policji, była lokalna policja białoruska i prawie wszędzie było po paru żandarmów niemieckich. W tych większych miasteczkach i większych wsiach te oddziały samoobrony dostawały broń od Niemców, mieli karabiny, amunicję dostawali, no, i na noc zawsze wystawiało się posterunki. Jakby ktoś szedł, to trzeba było strzelać. Kiedyś nawet mnie takie szczęście spotkało w Rakowie, że dostałem karabin i postawiono mnie nad rzeką przy moście, żebym uważał, jak ktoś szedł, to 3 razy strzeli. To był sygnał, że jest napad. Jakoś nie trafiło mi się to. 8 maja 1943 roku dokonano dużego napadu na miejscowość Naliboki. To było prawie miasteczko. Kilka oddziałów sowieckich przyszło. Wcześniej tam było porozumienie jakieś z tą samoobroną, że to będzie jakoś tam dobrze. Nie zważając na to, przyszli. Zginęło 128 osób. Kobiety i dzieci między tym. Spalono kościół, gminę, remizę strażacką, sklepy, jakieś tam jeszcze, jeszcze parę domów takich tych ogólnie dostępnych, służących wszystkim i kilkanaście domów we wsi, resztę ograbiono. Polacy w związku z tym doszli do wniosku, że trzeba jakoś przeciwdziałać. Te oddziały samoobrony, bo w Nalibokach była samoobrona, ale nie dała sobie rady, dostali zgodę z okręgu AK, że mogą otworzyć oddział partyzancki. Już 3 czerwca spotkali się w miejscowości Kul, w powiecie stołpeckim. Tam zebrali ich się czterdziestu czterech, powołali oddział. Z tym, że co ciekawe sowiecka partyzancka protestowała przeciwko temu, żeby Polacy tworzyli swoje oddziały partyzanckie. „Owszem, stwórzcie, ale dowódcami w tych oddziałach

to będą nasi oficerowie". Tam jeszcze kilka innych warunków stawiali, których ja w tej chwili nie pamiętam, bo to było trochę więcej tego. Polacy rozmawiali tam, głównym takim organizatorem tego polskiego oddziału partyzanckiego był podporucznik Kacper Miśkiewicz. W końcu jakoś tam Rosjanie się zgodzili, że ten oddział powstanie. Tych 44 się zebrało. To było, jak powiedziałem, początek czerwca. Ale 19 czerwca polski oddział partyzancki rozbił duży garnizon niemiecki w miasteczku Iwieniec. Tam było kilkudziesięciu żandarmerii. Był posterunek około dwudziestu policjantów białoruskich. I było około 200 niemieckich lotników na wczasach, na takim jakby urlopie. Mieszkali w położonych w pewnej odległości od miasteczka byłych koszarach kompanii czy nawet batalionu Korpusu Ochrony Pogranicza, oni tamtych to zajęli sobie te pomieszczenia. Polacy to rozbić garnizonu chcieli zorganizować 22 czerwca w drugą rocznicę wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, ale Niemcy na sobotę, 19 czerwca zarządzili spęd koni dla armii, do wyboru dla armii niemieckiej i dwa roczniki młodych ludzi, których miano pobrać do policji białoruskiej. To była taka okazja, żeby w miasteczku znalazło się więcej ludzi. Więc nasi partyzanci, których już było stu sześćdziesięciu pięciu, doszli do wniosku, że nie 22 czerwca, a 19 zrobią rozbić garnizonu. No, i rzeczywiście dokonali tego. Sygnałem do początku tego powstania iwienieckiego był sygnał dzwonu kościelnego na Anioł Pański o godzinie dwunastej. Niemcy w tym czasie siadali do obiadu, więc tak się dobrze tego. Poza tym więcej ludzi, 165 ludzi, to już widać coś nowego. Niemcy sami zarządzili spęd koni i jeszcze zbiór młodych ludzi, więc ludzi w miasteczku jest znakomicie więcej, nie wzbudza żadnych podejrzeń. Ale dzwon spowodował, że to się zaczęło. Bardzo szybko rozbito radiostację niemiecką. Przy okazji zginął jeden z partyzantów polskich. I walka trwała do godziny 6:00 rano następnego dnia. Polacy wygrali. Policja białoruska nie bardzo ingerowała. Dlaczego? Bo dowódcą tej policji był Polak. Poza tym sporo Polaków tam było z konspiracji, no, więc wyizolowali ich i był spokój, spokój z policją. Co było z tymi kilkudziesięcioma żandarmeriami niemieckimi? Oni w jakimś tam budynku siedzieli. Polacy ostrzelali ich, oni się nie chcieli poddać. Ale jakiegoś innego Niemca, oficera niemieckiego, złapali nasi. Przyprowadzili tam, pod ten budynek. I on przemawiał do tych żandarmerii, żeby oni się poddali, bo zginą. Zastrzelili go Niemcy. Komendant policji białoruskiej – Polak, z zawodu strażak – zdecydował, że przyprowadzili pompę strażacką taką przez ludzi uruchamianą. Tak. Przywieźli beczkę benzyny, polali ten budynek żandarmerii i podpalili. No, i Niemcy, – wtedy się już zginęło sporo ich – poddali się, Polacy wygrali. Zdobyto olbrzymie ilości różnych rzeczy, które miały się przydać przy organizacji oddziału partyzanckiego. Żeby to wywieźć do Puszczy Nalibockiej, potrzeba było aż 70 wozów. Tak, tam mieli bardzo dużo rzeczy, amunicji, broni, spożywczych rzeczy, innych. No, było tego dużo. Nawet parę beczek spirytusu było. Wygrali bitwę. Sowieccy partyzanci przyszli następnego dnia rano, już po zakończeniu tych walk, że oni może pomogą. Nasi im podziękowali: „Dziękujemy, nie, tego nie”. Nie skorzystali z ich pomocy. Bo od początku czerwca, przez te 2 tygodnie, prawie 3 no, jakoś tam żyli spokojnie ze sobą. Był przypadek jakiś, kiedy zabito jednego chyba Polaka, ale jakoś to doszli do wniosku, to była jakaś pomyłka. W dwa dni po rozbić garnizonu niemieckiego przyszedł oddział niemiecki, oczywiście zaczęli zabijać ludzi. Ale żona Kazimierza Dzierżyńskiego, brata Feliksa, który mieszkał w Iwieńcu, ona zresztą była Niemką. Oczywiście znała niemiecki, była tłumaczem żandarmerii niemieckiej. Kiedy przyjechali Niemcy, zaczęli i tutaj gonić ludzi i zabijać, ona powiedziała: „Nie zabijacie tych ludzi, bo ci, którzy walczyli, i rozbijali ten garnizon, wyszli wszyscy do Puszczy”. Niemcy przestali zabijać tych mieszkańców, ale Kazimierza Dzierżyńskiego i jego żonę zabili. Był tam taki niedobry, jakiś niedobry Czech, który w ogóle był zły, a potem się jeszcze mścił na Polakach. Nie zdołali go złapać, on się gdzieś schował, ale potem swoją złą robotę zrobił. To był, jak mówiłem, 19-20 czerwiec. W drugiej połowie lipca Niemcy rozpoczęli akcję przeciwpartyzancką na teren Puszczy Nalibockiej. Zorganizowali około 60 tysięcy żołnierzy, w tym nawet

były oddziały frontowe, była artyleria, czołgi, były samoloty. Polacy uzgodnili z sowietami, że będą tam Puszczy bronić. No i Polacy bronili. Pierwszego dnia przyszli Niemcy, zabili kilkunastu Niemców, w tym jednego oficera. A Rosjanie uciekli. W związku z tym Niemcy zaszli Polaków od tyłu. No i tam narobili szkód Polakom. Wtedy już ich było tam Polaków około 550. No, rozbili to wszystko. Kilkunastu zabili. Kilkunastu aresztowali i po aresztowaniu zabili. Poza tym spalili około 60 wsi wokół Puszczy. Oprócz tych 60 wsi spalili również pojedynczo stojące gospodarstwa, gajówki jakieś też. Popalili to wszystko.